NUMER 47. DNIA 19. LISTOPADA 1905 ROKU. ROK XIII.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

DR. ALEKSANDER CZOŁOWSKI.

BITWA POD GRÓDKIEM

EPIZOD Z NAJAZDU MOSKIEWSKO-KOZACKIEGO 1655 R.

Od Kamieńca podolskiego szła groźna nawała moskiewsko-kozacka. Przed blisko 80.000 zastępami padały wśród pożog i rzezi miasta i zamki jeden za drugim, Husiatyn, Czortków, Jagielnica, Podhajce. Droga do Lwowa stała nieprzyjacielowi otworem, a jedyną przeszkodą, stojącą jeszczę Buturlinowi i Chmielnickiemu w drodze do opanowania, jak myśleli, miasta naszego bez jednego wystrzału, było nieliczne wojsko, które zbierało się pod Glinianami przy boku hetmana wielkiego koronnego, Stanisława Potockiego. Tam też zwróciły się przedewszystkiem zastępy moskiewsko-kozackie.

Wobec przewagi nieprzyjacielskiej opuścił Potocki dnia 20 września 1655 r. obóz gliniański i dążąc na Biłkę i Krzywczyce, w dwa dni potem sam przybył do Lwowa. Przyniósłszy wieść, że Chmielnicki z Buturlinem spalili siedzibę hetmańską Podhajce, że postępują za nim i za kilka dni będą pod Lwowem, pospiesznym marszem pociągnął na Rzęsnę ku Gródkowi. Siły hetmańskie wynosiły 4000 ludzi, prawie wyłącznie jazdy. Liczył jednak hetman, że zdoła tę siłę powiększyć pospolitem ruszeniem szlachty, która zbierała się w województwie wołyńskiem i bełzkiem, w ziemi chełmskiej i przemyskiej. Aby to uskutecznić, a zarazem, aby módz obserwować ruchy nieprzyjaciela i niepokoić go, stanął obozem w Gródku, odległym od Lwowa o cztery mile.

Miejsce pod obóz wybrane było bardzo korzystne; sama natura osłaniała je od strony Lwowa. Rozłożył się bowiem hetman między Gródkiem a Kamienobrodem, po zachodniej stronie rozległego stawu.

Nieprzyjaciel, chcąc dotrzeć do obozu, mógł to uczynić tylko w dwu miejscach, albo na północ od stawu przez bagniska pod Kamienobrodem, albo na południe przez miasteczko Gródek, który w tym czasie był obwarowany w czworobok, wałem i palisadą. Skorzystał z tego Potocki i osadził miasteczko swoim żołnierzem, jako przodową placówkę obozu. Nieprzyjaciel chcący tędy dostać się do obozu, musiałby najpierw nie tylko opanować miasteczko, ale następnie sforsować groblę, tworzącą między stawem a bagnistym jarem, przez który płynie rzeczka Wereszyca — jedyne przejście ku drozdowickim polom, gdzie rozłożył się obóz polski ze znacznym taborem wozów.

Niestety, wszystkie tę przeszkody okazały się niebawem za słabe wobec nieprzyjaciela przebiegłego, a przytem wielokrotnie liczbą potężniejszego. Na radzie wojennej nie brakło głosów doradzających hetmanowi, aby cofnął się ku Karpatom, lecz on o tem i słyszeć nie chciał. Wypadki następowały szybko. W tropy za hetmanem w sobotę 25 września pokazał się nieprzyjaciel na widnokręgu Lwowa, od strony Winnik, „jako gliniański gościniec“.

Dnia 27 września ruszył nieprzyjaciel na przedmieścia Lwowa. Wkroczył w nie śmiało i tysiącznymi oddziałami szedł prosto ku murom, aby z bliska przerazić gród swoją potęgą. Mieszczanie jednak i garnizon królewski pod wodzą Krzysztofa Grodzickiego, powitali go gradem kul, tak, że padło na wstępie sporo nieprzyjaciół.

Podjazd wysłany tegoż dnia z pod Gródka, przyniósł Potockiemu wiadomość, że nieprzyjaciel jest już we Lwowie. Buturlin i Chmielnicki dowiedzieli się nawzajem o miejscu hetmańskiego obozu,

który im się wymknął z pod Gl nian. Sąsiedztwo wojsk koronnych obudziło w nich słuszną obawę, że każdej chwili mogą się spodziewać jakiejś dywersji, więc uradzili uporać się najpierw z Potockim.

W tym celu pod Lwowem z częścią sił i z taborem pozostali pułkownicy kozaccy: Paweł Tetera i Daniel Wyhowski — reszta zaś w liczbie około 40 tysięcy, pod osobistem dowództwem obu wodzów, ruszyła ku Gródkowi.

Przez cały dzień 28. września obserwowano z miasta ożywione ruchy nieprzyjacielskich oddziałów w owym kierunku, lecz nie umiano sobie wytłumaczyć ich znaczenia, nie przypuszczano, że to wyprawa na kor. hetmana.

Wieczorem wspomnianego dnia Buturlin i Chmielnicki byli już pod Gródkiem.

Rozstawione czaty polskie spiesznie cofnęły się ku obozowi, gdzie nazajutrz dopiero spodziewano się akcji zaczepnej i gotowano się do krwawej rozprawy z 10-razy silniejszym nieprzyjacielem.

Ten atoli objaśniony dokładnie o trudnym dostępie do obozu, postanowił fortelem utorować sobie bezwłocznie do niego drogę. Fortel udał się.

Podczas, gdy oddziały moskiewsko-kozackie rozkładały się po zachodniej stronie stawu, kilku ochotników wsiadło na czółenka rybackie i szuwarami dotarło do miasteczka z tej strony, która przylegając do stawu, najmniej właśnie była strzeżoną.

Jasna, księżycowa noc, sprzyjała wyprawie. Wysiadłszy z czółen niepostrzeżenie na brzeg, ochotnicy owi podpalili kilka najbliższych chat. Buchające płomienie były dla wroga znakiem do szybkiego działania.

W miasteczku tak mieszkańcy, jak strzegąca je załoga polska nie przypuszczała, aby pożar mógł być czemś innem, jak zwykłym przypadkowym ogniem. Wszystko rzuciło się do gaszenia. Również i żołnierz polski, nie podejrzywając podstępu, pospieszył z pomocą. Wskutek tego wały, a zwłaszcza brama na lwowskim gościńcu, zostały prawie bez obrońców. Na to właśnie liczył nieprzyjaciel. Przy blasku płomieni przypuścił gwałtowny atak na wały miasteczka, opanował bez trudu ową bramę, wdarł się do wnętrza i uderzył na nieprzygotowanych i bezbronnych.

Wśród płomieni podpalonego z wszech stron Gródka, zaczęła się rzeź prawdziwa. Padali żołnierze i mieszkańcy, reszta w popłochu uchodziła przez groblę ku polskiemu obozowi. Sądził nieprzyjaciel, że w zamieszaniu uda mu się zająć i ową groblę, a tem samem uda mu się utorować sobie dostęp. Zanim to nastąpić mogło, żołnierz polski wysłany z obozu — piersią swą wstrzymał nawałę i noc całą odpierał wszystkie kozacko-moskiewskie ataki.

Nazajutrz — a był to dzień św. Michała — Buturlin i Chmielnicki, widząc, że nie zdołają sforsować przejścia przez ową groblę, w innem miejscu postanowili spróbować szczęścia. Do tego nadawały się jedynie wspomniane, dziś już osuszone bagna pod Kamienobrodem t. j. tam, gdzie obecnie przechodzi tor kolejowy. Przejście było tutaj dla nieprzyjaciela o wiele łatwiejsze, a obrona przedstawiała znaczne trudności.

Aby tem wygodniej na drugą przedostać się stronę, piechota kozacka rozebrała chaty sąsiednich wiosek i drzewem ich usłała pomost przez bagniska. Z polskiej strony wysłane chorągwie dragońskie pod pułkownikiem Demułtem z całym wysiłkiem starały się temu przeszkodzić, lecz przewaga po stronie przeciwnej zbyt była wielką.

Do południa pomost był gotowy, więc rajtarja moskiewska kniazia Romadonowskiego, cała zakuta w kirysy, rzuciła się lawiną ku polskim hufcom. Pod jej naporém rozbite chorągwie Demułta, pospiesznie cofnęły się ku swoim. Poległ sam Demułt, poległ rotmistrz Paweł Lipnicki i wielu innych.

Potocki wśród tego, całą swą szczupłą siłę ustawił w szyku bojowym na polach, jak dziś tor kolejowy, przy stacji Kamienobród. Środek szyku tworzyły chorągwie husarskie samego hetm[illegible] stępnie Jana Zamojskiego, podczaszego k[illegible] i Krzysztofa Tyszkiewicza, wojewody cze[illegible] skiego. Na obu skrzydłach, prawem i lewe[illegible] chorągwie dragońskie i pancerne. Wozon[illegible] kazał hetman wcześnie wyruszyć w st[illegible] worowa.

Atak rajtarji moskiewskiej, tworzącej [illegible] szyku nieprzyjacielskiego, skierował się ró[illegible] polskie centrum. Mimo gwałtownego zderz[illegible] rągwie husarskie nietylko zdołały wytrzyma[illegible] szy impet“, lecz po krótkiej ręcznej walc[illegible] wszy na szable“ rajtarję, zmusiły ją do [illegible] i „troje staj jechały na ich karkach“. Męstw[illegible] chwilowo górę nad liczbą — nadzieja z[illegible] zdawała się uśmiechać hetmanowi, gdy t[illegible] przed husarją okazała się „jako chmura“ [illegible] kozacka, która również przeprawiła się [illegible] bagniska. I „już dalej postąpić trudno był[illegible] uczestnik bitwy.

Pod ogniem samopałów kozackich [illegible] chorągwie cofnąć się ku swoim skrzydł[illegible] w groźniejszem jeszcze znajdywały się niebezpieczeństwie.

Runęła na nie reszta nieprzyjacielskiej jazdy, tak od Kamienobrodu, jak i od Gródka, gdzie dalsza obrona grobli była już niemożliwą i bezcelową.

Uchodząca rajtarja moskiewska, sprawiwszy swe szyki do nowego rzuciła się ataku. Na całej linji zawrzał bój zawzięty, rozpaczliwy. Z każdą chwilą coraz więcej przybywało oddziałów moskiewskich i kozackich i w końcu każdy żołnierz polski miał przed sobą kilku wrogów.

Wobec olbrzymiej przewagi hetman wydał rozkaz do ustępowania w kierunku na Mużyłowice, Bruchnal ku Jaworowu. Sprzedając drogo swe życie, powoli i w porządku rozpoczęły hufce hetmańskie odwrót w wskazanym kierunku, nieprzyjaciel nacierał coraz żwawiej, trup gęsty padał z obu stron, ranionych było mnóstwo.

Słońce chyliło się ku zachodowi i zdawało się, że pod cieniem niedalekiej nocy uda się hetmanowi wyrwać z matni, ale niestety wypadek zrządził inaczej. Właśnie, gdy nadzieja wyjścia obronną ręką wszystkim dodawała otuchy, do nadludzkich zachęcała wysiłków — wieść groźna polskie przebiegła szeregi, że od tyłu, od strony Sądowej Wiszni zbliża się nowy hufiec najeźdzców.

Na tę wieść — popłoch, ten najgroźniejszy wróg każdej armji rozluźnił odrazu karne dotąd zastępy hetmana, popłoch tem boleśniejszy dla niego, że zupełnie bezpodstawny. Hufcem owym nie był żaden wróg, lecz pospolite ruszenie szlachty, która z ziemi przemyskiej dążyła do obozu.

W wirze walki, wśród zapadającego zmierzchu wobec całodziennego zmęczenia, nie mógł sobie żołnierz zdać z tego sprawy. Lewe skrzydło pierwsze zaczęło się mięszać. To samo wkrótce nastąpiło na prawem. Daremnie hetman — posyła do jednego i drugiego, że to swoi ciągną z pomocą, daremnie osobiście stara się o tem przekonać, oba skrzydła idą w rozsypkę i rzucają się do ucieczki.

W skutek tego i środek pod osobistem dowództwem hetmana — musiał przyspieszyć i puścił się kłusem ku Bruchnalowi. Jazda moskiewska tem śmielej rozpoczęła pogoń, uderzając to z tyłu to z boków. W Bruchnalu, który był wówczas miasteczkiem, otoczonem również wałami, usiłował Potocki raz jeszcze stawić opór i w bramie Bruchnalskiej przyszło do tak gwałtownego starcia, że sam byłby stracił życie, gdyby nie rotmistrz Kryczyński, który Moskwicina nań godzącego zwalił z konia. Wobec przewagi trzeba było uchodzić dalej.

W nocy uciekający dotarli do Jaworowa i tu nieprzyjaciel zaprzestał pogoni, zadowalając się rabunkiem wozów obozowych, które po drodze dopędził pod Bruchnalem.

Bitwa w takich okolicznościach musiała się skończyć fatalnie.

Straty z polskiej strony były dotkliwe. Wśród wielu innych zginęli: rotmistrze Jan i Gabrjel Aksakowie i Łukasz Hulewicz. Wielu dostało się do niewoli a między nimi: Sebastjan Machowski, oboźny wojskowy, rotmistrz Jerzy Bałaban, Wojciech Goliński, Bykowski i Jan Potocki, wojewodzic bracławski, synowiec hetmana.

Do rzędu klęsk tego roku przybyła Polsce nowa a druga w ciągu jednego tygodnia. Dnia bowiem 23. września, pod Wojniczem, rozbili Szwedzi Stanisława Lanckorońskiego, hetmana polnego kor. „i nie było już kącika wolnego od nieprzyjaciół — mówi współczesny pamiętnikarz — oprócz trochę Podgórza".

Chciał nieprzyjaciel uderzyć na owo pospolite ruszenie, lecz ono wcześnie cofnęło się do Jarosławia.

Prowadząc jeńców i łupy zaraz nazajutrz z tryumfem wróciły pułki moskiewsko-kozackie pod Lwów, który po klęsce wojska koronnego stracił ostatnią nadzieję pomocy, zdany został na własne siły i zasoby. W takiej to chwili, miał wytrzymać mężnie czterdziestodniowe oblężenie i Ojczyźnie dać przykład, jak walczy mężny w obronie najświętszych ideałów...

Światopogląd religijny.

(*Albert Kalthoff: Światopogląd religijny. Mowy. Przekład z upoważnienia autora. Kraków. Spółka nakładowa „Książka". Warszawa G. Centnerszwer i Spółka.*)

(Dokończenie.)

Religja — powtórzymy wraz z Kalthoffem — „jest siłą, która całe nasze życie powinna przeniknąć, odbić się w naszej pracy i spoczynku, jako wierność obowiązkom, radosna gotowość do ofiar, jako zaufanie, łatwość do zgody, litość i ludzkość". Przemawia ona językiem serca, nie rozumu. Każdy, kto z poświęceniem osobistych swych interesów służy gorliwie sprawie „wyzwolenia, uszlachetnienia i uczłowieczenia" ludzi, posiada silne poczucie religijne, chociażby nie należał do żadnego kościoła

i żadnej z uznanych nie wyznawał religji, może być bardziej religijnym od gorliwie spełniających przepisy kościelne i troszczących się tylko o własne korzyści i o własne szczęście.

Uważając religję za niezbędny czynnik w rozwoju ducha ludzkiego, wyznawcy zasad Henryka Saint-Simona usiłowali przywrócić jej to wielkie znaczenie moralne, jakie miała ona w wiekach średnich, lecz równocześnie uznawali, że musi ona ulegać tym samym prawom ewolucji, które dają się spostrzegać w przebiegu dziejów ludzkich. Poprzednia religja głosiła prawdy objawione przez Boga, które przez to miały charakter nieomylności, chociaż wiedza doprowadzała do odmiennych wyników. Nasza religja — powiadali uczniowie Saint-Simona — opiera się na prawdach poznanych, zdobytych przez wiedzę, a więc może zgodnie z nią odbywać dalszy swój rozwój. Dawna religja widziała w przeszłości życie rajskie i doskonałość człowieka, upadek jego stał się początkiem dziejów naszych. „Wiara w postęp jest podstawą religji przyszłości — powiada Enfantin — i ten nowy dogmat nie może prowadzić do tych samych następstw, co ów dawny dogmat upadku“. Ziemia nie ma być tylko padołem płaczu dla człowieka, może on wytworzyć na niej prawdziwie rajskie życie“. Wyobraźnia poetów — mówią uczniowie Saint-Simona, powtarzając jego słowa — umieściła wiek złoty przy kolebce rodzaju ludzkiego pomiędzy ciemnotą i dzikością pierwotnych czasów. Właściwiej mówiąc, wówczas był wiek żelazny. Wiek złoty rodzaju ludzkiego nie jest za nami, ale przed nami: jest nim doskonałość porządku społecznego. I nowa religja w przeciwieństwie do poprzedniej, która zalecała zajmować się głównie sprawami niebieskiemi i zbawieniem swej duszy, wskazuje człowiekowi jako główne zadanie służbę społeczeństwu i dążenie do urządzenia tu na ziemi możliwie najlepszych warunków dla jego istnienia. Wyznawców dawnej religji usiłowano utrzymać w wierności i posłuszeństwie obietnicą nagród, lecz przedewszystkiem groźbą strasznych kar. Herbert Spencer nazwał ją religją nienawiści. W przekonaniu głosicieli nowej religji, jedynie prawdziwym, jedynie silnym i trwałym łącznikiem w życiu duchowem ludzi może być tylko miłość.

W ruchu Saint-Simonistycznym najwięcej uwydatniał stronę religijną nowej doktryny Bartolomeusz Prosper Enfantin i kiedy następnie mnożyły się liczne odstępstwa, wytrwał on w swej nowej wierze aż do końca życia. W 1861 r. streścił on w sposób popularny zasady nowej religji w dziełku pt. Życie wieczne (La Vie eternelle), które miało już sześć wydań, a więc upowszechnia się powoli wśród ludu francuskiego.

Saint-Simonizm wywarł wielki wpływ na umysłowość niemiecką. Stronę jego religijną badali gruntownie tacy teolodzy, jak Karol Bretschneider i profesor Wendt. Znawcy nowszej teologji protestanckiej w Niemczech twierdzą, że widoczny jest tam wpływ przekonań Saint-Simonistycznych.

Nie można się więc dziwić, że w niemieckim kościele protestanckim pojawił się taki odważny głosiciel nowych zasad, jakim jest bremeński kaznodzieja, Albert Kalthoff. Spółka krakowska wydawnicza „Książka“ oddaje ważną usługę publiczności polskiej, ogłaszając w polskim przekładzie świetne jego kazania w dniach adwentowych p. t.: Światopogląd religijny.

Kalthoff jest to nowy człowiek, człowiek, co żywo odczuwa dążenia swego czasu, co czerpie swą wiedzę nie z podań biblijnych, ale z otwartej księgi lądów i mórz, nieba i ziemi, co współczuje dzisiejszemu ruchowi społecznemu, w jego dążeniu do urzeczywistnienia braterskiej równości pomiędzy ludźmi. Religja — zdaniem jego — stawia przed człowiekiem ideał i wzbudza w nim pobożną wiarę, która wspiera go we wszystkich jego usiłowaniach, ażeby upragniony, umiłowany ideał stał się rzeczywistością“. W woli, nie w myśli — powiada Kalthoff — spoczywa wiara niby w przyrodzonem macierzystem łonie. Wola dąży do celu, którego jeszcze niema, stawia sobie zadania, które dopiero powstać mają. „Wiara wzmacnia charakter wolą. „Pokolenie o silnej woli, to zarazem pokolenie mocnej wiary“ — powiada Kalthoff.

Kazania Kalthoffa to nie suche traktaty o moralności, to nie martwe rozprawy teologiczne, to wzniosły poemat o najważniejszych zagadnieniach, jakie mają przed sobą myśl i serce człowieka. Pokrzepiają one ducha ludzkiego, rozdzieranego wątpliwościami i zniechęcanego grubym materyjalizmem życia codziennego. Czytać dzieło Kalthoffa powinniby i ci, co mniemają, że religja jest potrzebą ducha ludzkiego, i ci, co sądzą, że jest ona zbyteczną. Daje ono wiele, wiele do myślenia.

Kalthoff znalazł godnego siebie tłumacza. Nie tylko wzorową jest jasność i wyrazistość stylu, ale w układzie zwrotów i doborze wyrazów czuć poetycki nastrój jego ducha.

Jakkolwiek Kalthoff usiłował dojść do światopoglądu religijnego, któryby — jak powiada — nie był

ani rzymskim, ani protestanckim, ale po prostu ludzkim, to jednak przychodząc do wniosku, że religja każdego człowieka może być tylko jego własną osobistą, indywidualną, nie zeszedł ze stanowiska protestanckiego. W tym względzie Enfantin jest bardziej katolickim, utrzymując, że nowa wiara religijna ma wszelkie warunki stania się powszechną.

Bolesław Limanowski.

JOHANNES JENSEN.

Amerykanin.

(Dokończenie).

Przez następne miesiące wprowadził „Amerykanin“ trochę życia w cichą okolicę. Nie, żeby miał być wesołym, przeciwnie, trudno było wydobyć z niego słowo, ale było w nim pod wielu względami coś niezwykłego, co ludzi podniecało. Nikt właściwie nie wiedział na pewno, czy ma jakiś majątek. Rozrzutny nie był, ale mimo to mógł przecież być dostatnim człowiekiem. Ręce miał zgrubiałe od ciężkiej pracy, nie mógł ich otworzyć zupełnie; świadczyłoby to, że wiódł pracowite życie. A silny był z niego chłop, chociaż miał włosy siwe.

Po upływie dwóch tygodni zaczął się Lavst Eriksen najmować do roboty. Okazał się zdolnym do każdej pracy, jeżeli mu się pozwoliło ulepszać i zaprowadzać rozmaite metody i narzędzia. Nic, jego zdaniem, nie było takie, jakie powinno być, nic mu nie było dość szybko. On nawoziłby galopem, gdyby mu pozwolono a orał aż iskry leciały, sam poruszał się, jak gdyby biegł do pożaru, lub po położną do chorej, żartowali ludzie. Był taki gwałtowny i hardy, chociaż mu nikt w drogę nie wchodził i to ich bawiło. Spostrzegłszy, że jest uważany za dziwaka, stał się jeszcze bardziej milczącym. Rozsądni ludzie jednak szanowali „Amerykanina“. Widoczne, że w Ameryce nauczył się więcej, niż dawał do poznania. Pewnego razu miano w pewnej zagrodzie ścinać ogromne, stare drzewo, przypadkiem przechodził on tamtędy. Chwycił za topór, który naturalnie nie był według jego uznania odpowiedni — trzeba go było wtedy widzieć! Oczy iskry ciskały. Biegał w około drzewa i uderzał toporem zupełnie jak szermierz, zmieniający pozycję i używający rozmaitych forteli. Aż miło było patrzeć, jak zręcznie umiał wymachiwać toporem! Był on sprytny i w obcych stronach podpatrzył rozmaite sposoby we wszelkich dziedzinach pracy. Nowy sposób kręcenia sznura, który on wprowadził, przyjął się w tej okolicy i otrzymał od niego nazwę. Był też dobrym strzelcem i niejedną kaczkę dziką zastrzelił na fjordzie; mówiono, że umiał je zwabiać bardzo blisko siebie, kwacząc jak kaczka, wielu ludziom wydawało się to czemś nadzwyczajnem. Miał też szczególny zegarek, wskazujący miesiące i dni w roku; nie mogło im się pomieścić w głowie, żeby istniał zegarek, który się tak rzadko nakręcało, jak ten amerykański.

Pobywszy kilka miesięcy w rodzinnej wsi, zabrał się „Amerykanin“ do kopania marglu. Z dawien dawna oddawali się tej pracy jedynie bardzo odważni parobcy. Margiel kopie się w dwojaki sposób: z otwartych dołów, gdzie zawsze grozi niebezpieczeństwo, że boczne ściany mogą runąć, albo z zamkniętych, które znawcy uważają za bezpieczniejsze. Tu przeprowadza się tylko wąską studnię w ziemię do pokładów marglu, ten, który kopie, spuszcza się więc na dół i wgryza się na wszystkie strony. Pomocnik stoi na górze i wyciąga napełnione wiadra. Jeżeli ściany runą, człowiek znajdujący się na dole, jest bez ratunku zgubiony, ale to zdarza się nie tak często. Pokłady marglu bada się w ten sposób, że dwaj ludzie, mający zamiar wspólnie pracować i rozumiejący się na tem, obchodzą daną ziemię i wiercą ją długą, cienką sztabą żelazną, zakończoną gwintami. Wszystko, w co one się wbiją, polewa się kwasem azotowym: jeżeli się zacznie burzyć, jest margiel. „Amerykanin“ pracował najpierw na akord, niebawem dobijano się o niego i zarabiał bardzo dużo. Na nic się nie oglądał, nie znał on, co to strach przed śmiercią, a był tak zwinny, że zatrudniał dwóch ludzi na górze. Lavst odżył, zabrawszy się do tej roboty, widocznie było to jego pole. Kopanie było to zajęcie jedyne dla tego człowieka.

Wkrótce jednak przemogła w nim żyłka awanturnicza. Musiał się naturalnie okazać sprytniejszy od reszty ludzi, zawiązał spółkę z jakimiś trzema drabami szwedzkimi, zapitymi przybłędami i po prostu założyli marglarnię. Kupili pokład i najpierw pracowali w zwyczajny sposób, jak dawne olbrzymy; już o wschodzie słońca widywano majaczące we mgle postaci rosłych chłopów i słyszano zgrzyt łańcucha ich wiader. W mieście zjawiali się całkiem umazani marglem i gliną a pieniądzmi rzucali na wszystkie strony. Oburzali ludzi tą swoją chełpli-

wością, rozrzutnością i tłustemi bluźnierstwami. Ale też to źle się dla nich skończyło.

„Amerykanin“ nie miał w niczem miary — sprowadził sobie z miasta o pięć mil oddalonego lokomobilę, puścił ją w ruch i zaczęli margiel wywozić po szynach! Nie było bojaźni Boga w tych chłopach, ani odrobiny strachu, który przecież każdy człowiek czuje w obec tych wszystkich modnych nowinek. Nie wielu mogło znieść ten dym i parę o każdej porze dnia, wychodzące z obrzydliwej, żelaznej rury — słabo się mogło zrobić na sam widok tego czarnego dymu i zapachu węglowego. A jaka to była bezecna ta ich jazda maszyną, ani sposób dojrzeć sprych u kół, tak pędzili. A gdyby tak pękła! przecież duże kawałki żelaza porozlatywałyby się daleko. Zresztą jakże też długo mogło trwać takie stworzenie z żelaza! toć to rdzewieje, niemożliwe, żeby się opłacało. A strasznie było patrzeć na tę spółkę marglowców, grzebiącą się w ziemi. Robota paliła się im w rękach, jeden był tu, drugi tam, czarna maszyna sapała i huczała, żelazny łańcuch zgrzytał i piszczał a wózki z marglem sunęły jeden za drugim. Nigdv nie wyobrażali sobie ludzie, aby tu mogła istnieć marglarnia na wielką skalę.

Ale też nigdy nie wyśmiewano się tak z „Amerykanina“, jak, gdy po upływie dwóch tygodni okazało się, że pokłady margla się wyczerpały.

Lavst Eriksen nie brał sobie tego zbytnio do serca. Gryzły go inne rzeczy. Jeszcze nie pojednał się z synem.

Regularnie co niedzielę przed południem zachodził do wsi, starać się o względy stolarza Andrzeja. Nie doszli jeszcze do rozmówienia się szczerze. Lavst Eriksen wchodził do warsztatu i stojąc, przypatrywał się pracującemu synowi; stolarz nie przerywał sobie nigdy, lecz spokojnie oddawał się swojemu klejowi i formom z siarki, z których wylewał ręce na krzyż splecione i głowy aniołów, póki nie odezwały się kościelne dzwony. Wtedy odwiązywał skórzany fartuch a stary się żegnał. Niekiedy zamienili kilka zdań, ale zawsze o sprawach, właściwie mało ich obchodzących. Stolarz Andrzej zachowywał się względem ojca z rodzajem pełnej szacunku grzeczności, jak gdyby był bogatym odbiorcą, przypuszczał też, że kiedyś zamówi sobie u niego trumnę, po którą przybył widocznie. Lavst Eriksen nie chciał zbliżać się więcej, niż dotąd, póki syn nie uczynił ani kroku do zgody. Zawsze stał pod drzwiami, na końcu heblarni, nigdy nie posunął się dalej i nigdy nic nie ruszał, — pewnego razu syn spokojnie wziął mu z ręki cyrkiel, którym się bawił. Lavst nie spuszczał oczu z syna, gdy był w warsztacie. Zdarzało się, że tu i ówdzie rzucił pytanie o zdrowie żony lub serdecznie rozpytywał się o jego chorobę, ale syn odsuwał od siebie jak najdalej wszelką myśl o jakiemkolwiek zbliżeniu.

Pewnej niedzieli położył stary, niby przypadkiem, na heblarni funt czekolady, która następnej niedzieli znalazła się na tem samem miejscu. Lavsta przeszedł lekki dreszcz, gdy ujrzał paczkę. W drugą niedzielę leżała jeszcze, wtedy stary wziął ją na powrót i schował. Przez te trzy niedziele nie przemówili do siebie słowa.

Dla człowieka, jak stolarz Andrzej, który sam był chłopem i znał się na chłopskim zwyczaju ukrywania wszystkiego, łatwo było zrozumieć, czego sobie życzył ojciec i przejrzeć jego pozory obojętności. Chciał zdobyć na stare lata trochę życzliwości, chciał wrócić do posiadania syna, oto wszystko, czego pragnął. Ale stolarz Andrzej nie widział racji do objawienia serdecznej uprzejmości. Nie, żeby osobiście żywił do ojca żal o to, że swojego czasu uciekł od niego i matki, bo tego nie pamiętał wcale i on wogóle nie posiadał w sobie instynktu oburzania się na krzywdę. Zresztą może to i najlepsze było; ojciec pewnego razu napomknął coś, co mogło być zupełnie słuszne a mianowicie: trzeba szukać szczęścia za granicą, skoro go odmawiają w ojczyźnie. Lavst Eriksen mógł wcale nie mieć zamiaru porzucić żonę i dziecko na zawsze, mógł przedsięwziąć podróż, aby zdobywszy pieniądze i dobrobyt, wrócić z niemi do swoich. Co do tej strony sprawy mogli by byli dojść do porozumienia. Ale Andrzej stolarz czekał, nie spieszno mu było zgoła, chciał, aby stary zdeklarował się, j a k wrócił, to znaczy, czy chce być ciężarem albo jak? Lavst Eriksen zaś chciał tę kwestję zostawić na później. Miał widocznie pewnego rodzaju instynkt, który radził mu wystawić syna na próbę, milcząc o tem właśnie. I tak się stało, że nigdy nie omówili najważniejszej sprawy.

„Amerykanin“ był to chłop jak dąb, niezmordowany robotnik w dnie powszednie; tylko w niedzielę, gdy szerokimi krokami zbliżał się do warsztatu stolarskiego, znać w nim było starca. Nie miewał wtedy na sobie dziwacznego amerykańskiego kostjumu robotniczego, to jest spodni razem z bluzą, lecz nosił niebieską kurtkę z lśniącymi guzikami i krzyżem na piersiach. Zjawiał się punktualnie o dziewiątej a widywano go regularnie opuszczającego dom syna o dziesiątej, gdy ludzie szli do kościoła. Lavst do niego nie chodził nigdy, lecz

racał do domu. Ludzie, spotykający go, słyszeli o rozmawiającego z sobą z oczyma wlepionemi w drogę, ale nikt nie rozumiał, bo to było po „anglikańsku“. W ciągu roku, przez który tu bawił, tał się figurą podaniową. Z nikim nie zawarł bliższych stosunków.

Lavst Eriksen zaś, który na obczyźnie przyswoił sobie ostry i zimny sposób mówienia, posiadał więcej słodyczy i ciepła, niż chłopi posiadać zwykli; okazywało się to w punktualności i regularności, z jakiemi niedziela w niedzielę zjawiał się we wsi i szedł do małego warsztatu, gdzie słabowity, chudy stolarz heblował, odwrócony do niego tyłem i milczący, jak gdyby on nie istniał dla niego.

A gdy stał tak cichutko i syn prawie zapomiał o jego obecności, twarda jego twarz zdradzała takie opuszczenie; rozglądał się tak tęsknie włóczęga stary i z boleścią załamywał ręce. yż tu nie znajdzie się dla niego spokojny kącik? yż ani jedna para oczu nie spocznie na nim bez niewu teraz, kiedy się postarzał?

W izbie nie był jeszcze wcale. Ale ilekroć uchylone były drzwi do mieszkania, z największą ostrożnością zaglądał tam stary: widział skrzywioną żonę Andrzeja, jak nastawiała na ogień wieczyste ziemniaki, drapiąc się w głowę, lub szarpała i ocierała swoje małe, zawsze mokre. Zegar w izdebce tykotał z dziwną powagą. Na komodzie stała jakaś fotografja w ramce obok porcelanowego psa. „Amerykanin“ zawsze sobie myślał, że chyba to będzie nieboszczka matka, jego kochanka i żona, którą porzucił. Nie mógł się ruszyć, aby wejść i popatrzeć, nie miał pozwolenia.

Wtem, pewnej niedzieli rano, gdy „Amerykanin“, jak zwykle, zjawił się w warsztacie, nie zastał w nim Andrzeja. Słyszał syna w izbie rozmawiającego z dziećmi, które to wybuchały śmiechem, to znów płakały, drepcąc drobnymi krokami po podłodze. Drzwi były zamknięte.

Od czasu do czasu posunął nogą, aby syn wiedział, że przyszedł. To znów zakaszlał, aby zwrócić na siebie jego uwagę. Ale drzwi pozostały zamknięte, nie otwarto ich. Wtedy zabrał się stary do domu.

Nazajutrz przyniósł Andrzejowi stolarzowi posłaniec gruby list i parę butów. Były to owe długie buty, w których Lavst kopał margiel. W liście nic nie było, prócz półtrzeciej setki banknotów dziesięciokoronowych.

Cóż to za sposób posyłać tyle pieniędzy w zwykłej kopercie? oburzali się później ludzie. Taka nieostrożność jest przecież karygodną! Ale takim już był „Amerykanin“, pod każdym względem nieopatrzny, patrzący przed siebie bez oglądania się na fatalne skutki.

Ludzie kpili sobie z jego marglarni, „jego fabryki“, długo jeszcze po jego wyjeździe. Ile pieniędzy musiała pochłonąć ta lokomobila! Wszystkiego tego nauczył się w tej Ameryce! Gdyby był pozostał przy dawnym sposobie kopania, byłoby mu nie zabrakło margla do końca życia!

No — i pewnego dzionka „Amerykanin“ wyjechał. Wymknął się cicho, bez rozgłosu, ze swoim blaszanym kufrem. Powrócił do Stanów, do nieskończonych preryj i bezkreślnych lasów. Odtąd słuch o nim zaginął zupełnie.

Tłum. Józefa Klemensiewiczowa.

Sen i marzenia senne.

(Streszczenie odczytu wygłoszonego w Towarzystwie przyrodników polskich im. Kopernika.)

(Ciąg dalszy.)

Przytoczone tu pzykłady świadczą, że ani inteligencja, ani praca umysłowa, ani nawet praca fizyczna, nie są tymi regulatorami, które stanowić mają o potrzebie i jakości snu. Według moich obserwacji, czynnikiem tu działającym jest przyzwyczajenie, mogące być zwalczane, modelowane i przeistaczane silną wolą osobnika, albo wpływem okoliczności zewnętrznych. Trzeba następnie wiedzieć, że rodzaj snu nabyty, lub odziedziczony, wpływa w znacznej mierze na wytworzenie charakteru, bądź osobnikowego, bądź rasowego. Przyzwyczajenie do snu długiego i częstego kształci charakter leniwy, przyczem usposabia do otyłości organizmu. Nieraz byłem świadkiem, jak wychowanie dzieci, poczynając od ich niemowlęctwa, wprawiając je do czynności i długiego czuwania, wytwarzało z nich ludzi czynnych, przedsiębiorczych, krótko śpiących, natomiast pozwalając niemowlętom i dzieciom spać długo i często, zmuszając je nawet, jak to czynią piastunki, do drzemki i spania — wykształcano z takich dzieci ludzi leniwych, ospałych. Na tę sprawę wychowawczą, dotyczącą charakteru snu, chciałbym zwrócić uwagę rodziców i wychowawców, na nią niestety

dotąd wcale nie zważają i do niej odnoszą się najobojętniej, a jednak według moich długoletnich obserwacji, charakter snu przyzwyczajeniowy bywa momentem rozstrzygającym o losach danego osobnika, to też kierując rozwojem przyzwyczajenia do snu u dzieci, mamy możność kierowania ich losami przyszłymi. A znowu po śnie możemy poznać człowieka, bo znając tylko charakter snu danej osobistości, zdołamy z wielkiem prawdopodobieństwem sądzić o stronie duchowej jego.

Jak przykłady wyżej przytoczone, tak też i porównanie snu człowieka, ze snem psa udomowionego, przekonać nas może, że potrzeba snu dłuższego nie jest zależną od pracy umysłowej, wykonywanej przez organizm. Człowiek np. przeciętnie inteligentny, śpi bez porównania krócej od psa, a przecie pierwszy pracuje umysłowo daleko więce, niż drugi. Na obronę słuszności zdania, że im silniej bywa wykształcony mózg, tem większą jest potrzeba snu, wypowiedziano zasadę, iż miarą dla oznaczenia wartości snu ma służyć nie tylko czas, użyty do spania, ale i głębokość samego snu, więc pies śpi dla tego dłużej, że ma sen lekki, człowiek śpi krócej, bo ma sen głębszy. Takie tłumaczenie wartości snu posłużyło prof. Bunge'mu, ażeby objaśnić powody ścisłych węzłów przyjaźni, łączących człowieka z jego wiernym towarzyszem — psem. Człowiek — powiada Bunge — obdarzony większą inteligencją, musi mieć z tej racji sen głęboki, twardy, zaś pies, o mniejszej inteligencji, ma sen lekki. Otóż tę niedogodną i niebezpieczną właściwość swego organizmu starał się człowiek pierwotny usunąć albo raczej jej złe skutki przynajmniej umniejszyć, dobierając sobie za towarzysza psa; uczyniwszy ten krok ważny dla rozwoju dalszego swojej inteligencji, wymagającej coraz głębszego snu, mógł ju… dalej wykształcać mózg swój, swoją duszę, a zarazem mógł już bezkarnie zasypiać coraz dłużej i głębiej, bo czuwał nad jego bezpieczeństwem pie… mniej od niego inteligentny, a stąd mający sen lekki. Na to tłumaczenie przyczyny rozwoju wysokiej inteligencji człowieka, dzięki ścisłej przyjaźni jego z psem, możemy odpowiedzieć słowami prz… słowia włoskiego, że „si non e vero e ben trovato", bo odnośnie do naukowej strony hipotezy, to on chyba dowieść się nie da nigdy.

(C. d. n.)

Dr. Benedykt Dybowski.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA

W jesiennych mgłach. Poezje Stanisława Jasińskiego. IV. Paryż 1905.

„W jesiennych mgłach" — to już czwarty tomik poezji p. Stanisława Jasińskiego. I gdyby p. Jasiński wziął obecnie pod sumienną rozwagę wszystkie cztery tomiki, toby się przekonał, że za dużo napisał, a za mało powiedział. I wtedy — możeby powstał z tych czterech tomików jeden, nieduży, ale interesujący. Wszak w czterech książkach wierszy, można znaleść i ziarna poezji. W „jesiennych mgłach" widać bardzo zamglone tło do czegoś, nic więcej.

Leon Świeżawski: Otchłań Polska. Romans narodowy. Lwów 1905. Księgarnia Narodowa.

P. Leon Świeżawski jest autorem znanym już z kilku dramatów, napisanych na tle życia narodowego. Obecnie wystąpił z wielką powieścią, która interesuje przedewszystkiem jako cały szereg obrazów z życia budzącego się ludu galicyjskiego, z życia małomiasteczkowego i podupadłej szlachty. P. Świeżawski jest pysznym obserwatorem; obrazy chłopskich waśni politycznych, robota księży, beznadziejnie nudny tryb żywota małomiejskiego, rozwydrzone rojenia leniwej panienki ze dworu — wszystko to znalazło w p. Świeżawskim wiernego narratora, któremu wszakże można zarzucić pewną napuszystość w tonie i dużo sentymentalnego płaczu. Bohaterem romansu jest młody lekarz Łącki, który, znalazłszy się w małem miasteczku, rozpoczyna robotę oświatową nad zaśniętymi mieszczuchami, a przedewszystkiem nad okolicznym ludem wiejskim. Z interesującego tego romansu można poznać zapleśniałe stosunki małomiejskie i pewne dążenia nowych, przebudzonych i rwących się do pracy obywatelskiej chłopów.

Szkoda tylko, że autor nie posunął do wyżyny treści — także i formy romansu. Czytelnicy „Kurjera Lwowskiego" znają już tę powieść, gdyż pierwsze jej wydanie wyszło w naszej „Bibljotece powieściowej".

Fel. Gw.

Sprostowanie omyłek. W Nr. 46 „Tygodnia" zaszły następujące pomyłki w artykule prof. B. Dybowskiego: str. 371. 18 wiersz od dołu zamiast zaspawszy ma być zasnąwszy, 11 wiersz zamiast zwolniły — zwalniały, 9 wiersz zamiast filozoficzny — fizyczny, 5 wiersz zamiast assuryjski ma być ussuryjski.

Drukiem W. A. Szyjkowskiego we Lwowie, ul. Kopernika l. 5.